

Niezwykła zbrodnia

POWIEŚĆ KRYMINALNA

przez Goron'a, byłego szefa bezpieczeństwa w Paryżu.

Tłumaczyła z francuskiego Marya S.

2
Wszyscy oczekiwali teraz z napięciem, by człowiek, którego schwytano uciekającego z willi, odzyskał przytomność. To on musiał być niewątpliwie sprawcą podwójnej zbrodni.

Ubrania, tłące się w kominku, wytłomaczyły nagłość trupa.

Morderca widocznie chciał zatrzeć za sobą wszelki ślad, mogący odkryć nazwisko ofiary.

Chciał spalić odzież, ale nawpół zaduszony buchającym dymem ze źle funkcjonującego kominka, rzucił się do ucieczki, bojąc się o własne życie. To go zdradziło i wydało w ręce sprawiedliwości.

Komisarz silnie podniecony, oczekiwał z nerwową niecierpliwością, by morderca nareszcie o czy stworzył i mógł odpowiedzieć na jego zapytania.

Podczas gdy doktor czynił różne wysiłki, by go przywrócić do przytomności — komisarz rozpoczął przed przybyciem szefa policyi — badanie świadków.

Z pokorną miną ludzi, którzy boją się wszelkiego zetknięcia z organami policyi, „Brzoskwinia” i „Podwójna Nitka” wymienili swoje nazwiska i rodzaj zajęcia.

— Wiktor Falampin — szepnął „Brzoskwinia” — Służyłem w Afryce. Mieszkam w oberży pod „Czterema talarami”.

— Gustaw Lartier, przezwany „Podwójną Nitką”, mieszkam razem z towarzyszem.

— Jesteśmy posługaczami przy przewożeniu mebli, panie komiszarzu.

— Nie wiele wiemy. Przechodząc, uczuliśmy spaleniżnę, chcieliśmy okno otworzyć...

— W najlepszej myśli...

— Tak jest, w jak najlepszej myśli.

Pan Varangaud nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Odgadł to, czego mu dwaj włóczędzy nie dopowiedzieli.

— Dobrze. Bądźcie gotowi na każde zawołanie sędziego, który nadejdzie lada chwila.

— Oj, nie mamy szczęścia! Mielśmy iść dzisiaj do roboty...

— Dzień stracony...

Komisarz zapisał ich nazwiska.

Pan Boitard, zmordowany, sapiący jak miech kowalski, powracał właśnie ze stosem koców i kołkowskich, po nabraniu tchu i chwilowym wypoczynku, wymieniał przed komisarzem swoje nazwisko, swoje zatrudnienie, jak również, że jest właścicielem tej willi.

— Czy zna pan tę kobietę? — spytał komisarz.

— Nie, proszę pana; nie widziałem jej nigdy w życiu.

— A tego człowieka?

Komisarz wskazał na człowieka, leżącego na kanapie.

— Także nie.

— Jakto? ten człowiek nie jest pańskim lokatorem?

— Nie!

— Komuż więc pan wynajął willę?

— To było tak: Od niedawna jestem właścicielem tego domu. Jestem kupcem, posiadam skład mebli przy ulicy Des Dames... Ponieważ ta willa była na sprzedaż wystawiona, postanowiłem ją kupić, umeblować i w części odnająć, zachowując sobie stryszek jedyny w tym domu, do którego mogę się dostać przez małe ukryte drzwi, tam w tyle.

— Czy przez te drzwi można się tu dostać — przerwał komisarz opowiadanie właściciela pawilonu.

— Nie. Było co prawda małe, kryte przejście za tem łóżkiem, lecz kazałem je zamurować.

— Dobrze, proszę, mów pan dalej.

— Trzy, lub cztery dni temu... nie pamiętam dokładnie; jaki dzień mamy dzisiaj?

— Wtorek.

— A więc to było w piątek po południu, zjawił się u mnie człowiek około 50 lat, gruby, przysadkowaty, o krótkich siwych włosach, o gestej, dość długiej brodzie. Chciał willę wynająć. Porozumieliśmy się w kilku słowach.

— Jego nazwisko?

— Piotr Patrel, lat 54, zamieszkały w Londynie.

- Czy pan widział jego dokumenta?
- Przyznam się, że nie.
- To szkoda — szepnął komisarz.
- Zapłacił z góry umówioną cenę... zresztą, czy ja mogłem przewidzieć, co się stanie?
- Poznałby go pan?
- O! z wszelką pewnością.
- Niech pan patrzy...

Komisarz przyciągnął pana Boitard do kanapy.

Właściciel willi, wchodząc, nie dostrzegł nagiego trupa ukrytego za kanapą. Na widok zamordowanego cofnął się przerażony.

— Cóż to jest? — zawołał z przestachem — druga ofiara... Ależ to istna mordownia, ten pokój!

I po chwili łatwego do zrozumienia wahania, obejrzał dokładnie trupa.

— Ten człowiek jest tym samym, który wynajął odemnie willę — rzekł pewnym głosem prostując się pan Boitard — i mówił, że się nazywa Piotr Patrel.

II.

Zagadka.

W chwili, gdy dzięki usilnym staraniom lekarza chory człowiek nareszcie wrócił do przytomności, Pan Pardoux, pomocnik prokuratora Rzeczypospolitej w zastępstwie samego nieobecnego prokuratora nadjechał w towarzystwie pana Cardec, szefa bezpieczeństwa i swojego sekretarza. Towarzyszył mu główny inspektor policyjny.

Pan Pardoux był to niski, trzydziestoletni człowiek, suchy, nerwowy, bardzo pewny siebie. Był on potomkiem rodziny, której kilku członków odznaczyło się chwalebnie w historii policyi paryskiej.

Dość tępego umysłu, owładnięty bezgraniczną ambicją, próżnością, która zdradzała się w każdym jego słowie. Był to człowiek dumny aż do śmieszności ze stanowiska, jakie zajmował w świecie... I teraz przybywał z miną nadętą i wyniosłą, zadowolony z nieobecności szefa i z wypadku, w którym mógł wykazać domniemane przez siebie samego zdolności. Wyniosłym, zimnym tonem zapytał o szczegóły, zanotowane przy pierwszym skonstatowaniu faktów i przesłuchaniu najbliższych świadków przez komisarza Varangaud.

Pan Cardec przez ten czas obserwował z ciekawością dwóch posługaczy, którzy napróżno starali się uczynić jak najmniejszymi, chcąc ująć uwagi przenikliwych oczu urzędników policyi.

Poznał on obydwóch drabów. Już nieraz miał z nimi do czynienia w swej kancelarii w drobnych sprawach i przypomniał sobie, że Wiktor i Gustaw oddali mu niejednokrotnie drobne usługi, dając mu pewne wskazówki, dzięki którym mógł odszukać i oddać w ręce sprawiedliwości długo poszukiwanych a bardzo niebezpiecznych ptaszków.

— Zwrócił się do inspektora:

— Słuchajno, panie Jaminot, zdaje mi się, że się nie mylę... to są...

— „Brzoskwinia” i „Podwójna Nitka”, tak jest do usług pana.

Widząc, że to o nich mowa, posługacze starali się jeszcze lepiej ukryć.

Pan Cardec zbliżył się do nich:

— No, co tam! Macie coś na sumieniu w tej sprawie, kiedy się tak ukrywacie? — spytał.

— O! na pamięć naszej babki! Jesteśmy niewinni! — odpowiedział pokornie Wiktor. — Jesteśmy tylko świadkami...

— Na nieszczęście — dodał szeptem Gustaw. — I tracimy dużo przez tę głupią historię. Mielśmy dziś termin...

— I robotę mieliśmy...

— Cały dzień zmarnowany...

Szef policyi wyciągnął bez słowa dwie sztuki pięciofrankowe z kieszeni i podał je „Brzoskwinii” i „Podwójnej Nitce”. Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu na widok ich twarzy, wyrażających równocześnie zdziwienie, pożądanie i bojaźń pokorną.

— No, chłopcy, bierzcie; to zadatek na przyszłe wasze usługi.

— Dziękujemy; potrafimy być wdzięczni za dobroć pana szefa.

Dr. Mingret ciągle zajęty był chorem. Poślany na jego żądanie agent przyniósł z apteki flaszke z lekarstwem. Na flaszcze widniał napis: „Syrop na wymioty”. Lekarz wlał przemocą kilka łyżek lekarstwa pomiędzy zaciśnięte zęby nieznajomemu człowiekowi.

— Potrzeba mi miednicy — rzekł do otacza-

jących go. — Tam w gabinecie toaletowym powinna się znajdować. Proszę przynieść szybko.

Pan Pardoux, który w towarzystwie inspektora przepatrywał dokładnie szczątki spalonych ubrań, powstał nagle usłyszawszy te słowa.

— Proszę nie ruszać! — zawołał ostro. — Wszystko powinno pozostać nietknięte, aż uczynię dokładne i drobiazgowo badania!

— O, to mnie wcale nie wzrusza! — zamruczał doktor. — Ja mam chorego tutaj a reszta mnie zupełnie nie obchodzi!

Urzędnik wyprostował się, silnie dotknięty.

— Sprawiedliwość i obowiązek są rzeczami najwyższej wagi — dodał napuszonym tonem — panie doktorze, chory może poczekać.

— Tak się panu zdaje? — towarzyszył temu wykrzyknikowi charakterystyczny, a wiele mówiący ruch ramion.

Pan Pardoux silnie zirytowany chciał stosownie odpowiedzieć; doktor nie dał mu przyjść do słowa.

— Obejdzie się — rzekł z wielkim spokojem — kubał, który się tu, znajduje wystarczy mi w zupełności.

Porwał kubał, który służył przed chwilą do gaszenia ognia i postawił go przed chorem. Lekarstwo zaczynało już działać.

Dr. Mingret zawołał ajenta.

— Proszę, potrzymajcie mu głowę. O, tak! do brze

Chory po chwilowej uldze otworzył oczy. Rażiło go jeszcze światło.

Doktor nie zwracając uwagi na podprokuratora i na jego postawę pełną aroganckiej opozycji — podszedł spiesźnie do nocnego stoliczka, znajdującego się przy łóżku.

Na małej posrebrzanej tacy stały dwa kieliszki i butelka Chartreuse.

Powąchał butelkę i kieliszki, nalał sobie na rękę kilka kropel pozostałego likieru. Wypił je powoli, smakując z widocznym rozczarowaniem.

Pan Cardec odgadł od pierwszej chwili podejrzenia lekarza.

— Pomyślałeś pan o truciznie, doktorze?

— Tak, lecz może się mylę. Węch mnie oszukał. Jednakże pożądaną byłoby rzeczą poddać ten likier analizie chemicznej.

— Zapewne — odezwał się dumnie podprokurator.

— Doktor spojrział na niego chytrze.

— To nie do mnie należy — odparł spokojnie...

W tej chwili chory usiłował powstać, lecz na zbyt jeszcze osłabiony, opadł z powrotem na kanapę.

— Gdzież ja jestem? — szepnął — czego chcę odemnie?

— Czy możemy już temu człowiekowi zadać pewne pytania? — zapytał pan Pardoux.

— Za chwilę będzie w stanie zadość uczynić pańskiemu żądaniu — odpowiedział lekarz. — Jednakże nie radziłbym męczyć go bardzo.

— Wiem najlepiej sam, co mi czynić wypada. Nie potrzebuję wskazówek. Obowiązek przedewszystkiem!

Pod tą poważną formułą podprokurator ukrywał główną swoją wadę. Miał niedobry zwyczaj przyspieszania nienaturalnie biegu rzeczy i teraz chciał wyjaśnić całą sprawę przed powrotem swojego szefa.

— Niech pan robi, co się panu podoba! — zawołał szorstko oburzony lekarz. — Na mnie chory czeka.

— No, a pańskie sprawozdanie?

— Jakież?

— O uczynionych badaniach?

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Pan pierwszy obejrzałeś trupy. Musi pan zeznać pisemnie skonstatowanie śmierci.

— Ani myślę. Mogę tylko powiedzieć, że ci ludzie nie żyją. Więcej nic. Do licha! Moi sławni koledzy mogliby się czuć urażeni, że im zdmuchnąłem z nosa taką dobrą okazję do sekcji medycznej i wzmianki w dziennikach. Sprawdź ich pan! Zobaczysz jak się rozpiszą, to gratka dla nich... ja się w takie rzeczy nie bawię, dosyć tam biedaków na mnie czeka!

Pan Cardoux usiłował nalegać.

— Panie podprokuratorze — rzekł dr. Mingret ironicznie — cokolwiekby powiedział lub napisał, nie przyda się na nic. Te trupy zostaną odstawione do „Morgue”, gdzie lekarz fachowy wyda panu orzeczenie o rodzaju rana, no i będzie po krzyku!... Co do mnie, powiedziałem już swoje, że na mnie czekają... a ludzie cierpiący nie powinni czekać! Mam zaszczyt pożegnać pana —